

ALBATROS

NIESPOKOJNY

duch

Daphne
du Maurier

Fascynująca opowieść
o niespełnionych marzeniach,
odwadze i wielkiej miłości

Tytuł oryginału:
THE LOVING SPIRIT

Copyright © The Estate of Daphne du Maurier 1931
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Jacek Żuławnik 2024

Redakcja: Marzena Wasilewska

Projekt graficzny okładki: Kasia Mieszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje: artifycreativeai/Freeplik (*statek z przodu*); user918980/Freeplik (*statek z tyłu*);
macrovectorFreeplik (*fale*); epraenil1/Freeplik (*księżyc*); cloudystock/Freeplik (*ptaki*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



1

Janet Coombe stała na wzgórzu i spoglądała na port w Plyn. Mimo że słońce zdążyło wspiąć się wysoko na firmamencie, miasteczko nadal spowijała wczesnoporanna mgła. Przyłgnęła do Plyn niczym blady cienki koc, czyniąc jego pejzaż odrobinę nierzeczywistym, jakby wyszedł spod pędzla upiornego malarza. Trwał odpływ. Ciche, niezmacone wody w milczeniu usuwały się z portu, stając się jednością z morzem. Żadne rozsiane po niebie chmury czy wisielczy wicher nie zakłócały spokojnego piękna zastygłego w bezruchu białego płótna. Nadleciała mewa. Na mgnienie oka zawisła w powietrzu, rozłożyła do słońca szerokie skrzydła, po czym wydała przenikliwy krzyk i zanurkowała prosto w ścielącą się w dole mgłę. Zdawało się Janet, że wzgórze jest jej własnym światem, małą planetą wyjątkowej klarowności i zrozumienia, gdzie znajdują ukojenie wszelkie niecierpliwe myśli i zamęt serca.

Biała mgła zasnuwała troski i zwątpienia codziennego życia, a wraz z nimi uciążliwe obowiązki i nużące obrządki zwykłych ludzi. Tutaj, na wzgórze, szarzyzna nie docierała, tutaj nic nie kładło się cieniem i nie istniało nic poza ciepłą pociechą południowego słońca.

Swoboda, nienależąca do Plyn, lecz płynąca od morza i biorąca się z powietrza, jak radosne podrzucanie liści jesienią, jak

nieśmiały trzepot ptasich skrzydeł. W Płyn trzeba było stosować się do poleceń, od rana do wieczora chodzić w kieracie domowych zajęć i powinności – pomagać to tu, to tam, życzliwym słowem dodawać komuś otuchy, nie spodziewając się w zamian podobnej serdeczności, albowiem byłoby to grzechem. A teraz Janet miała zostać kobietą, stanąć u progu nowego życia, jak powiedział pastor. Być może zmieni ją to, przyniesie jej smutek, ale też radość, skoro już o tym mowa, lecz jeśli wytrwa w wierze w Boga Ojca naszego, to u swego kresu zazna spokoju i ujrzy niebo. Podążanie za tymi wskazaniem było słuszne i zbawienne, Janet zdawało się jednak, że droga do nieba jest długa i trudna; wielu wędrowców upada na niej i ginie pod ciężarem grzechów.

Pastor mówił prawdę, owszem, lecz nigdy nie wspominał o rozkosznych rzeczach uparcie trwających w sercu. Sam Bóg go-dzien jest wielkiej miłości. Tutaj, na wzgórzu, dostojne owce sypia-ły zbite w gromadkę w chłodne noce, matki chroniły swoje młode przed czającym się w cieniu zarośli przebiegłym lisim złodziejem. Wiezorami nawet wysokie drzewa jakby przybliżały się do siebie dla pokrzepienia.

A jednak żadna z tych rzeczy nie zna miłości Boga, mówił pa-stor.

Niewykluczone, że prawdziwa natura każdego ptaka, zwierzę-cia czy kwiatu była mu w istocie obca, a tak naprawdę wszystkie one były nieśmiertelne jak rodzaj ludzki.

Janet przyklękała obok strumienia i dotknęła bladego zapo-mnianego pierwiosnka, który smętnie rósł nad wodą. Na gałęzi tuż nad jej głową zaśpiewał kos i zerwał się do lotu, obsypując włosy Janet białym kwieciem. Rozognione krzaki kolcolistu chło-nęły promienie słońca, wydzielając mocny słodkawy zapach miodu i świeżej rosy.

Dziś był dzień ślubu Janet Coombe. Matka na pewno uwijała się teraz w kuchni, szykując przyjęcie dla spodziewanych gości, a

siostry z utęsknieniem brały w dłonie delikatną suknię panny młodej i układały ją na łóżku.

Wkrótce zabrzmiał dzwony kościoła w Lanoc, a wtedy Janet i kuzyn Thomas, jej przyszły najdroższy mąż, pójdą do ołtarza, by tam, przez obliczem Pana, połączyć się świętym węzłem małżeńskim.

Thomas spuści wzrok na znak szacunku i w skupieniu wysłucha mądrych słów kapłana. Co do Janet, to wiedziała, że jej spojrzenie co rusz będzie uciekało ku wpadającym przez okna czystym promieniom światła, a uniesione przez nie serce powędruje aż na milczące wzgórza.

Ceremonia ślubna wyda jej się czymś odległym i nierzeczywistym, niczym otulone mgłą Płyn, i choć bardzo będzie się starała uważać, nie zostanie w niej nic z kazania, bo będzie wtedy przebywała zupełnie gdzie indziej. Jej grzeszna dusza nie stawia się na polecenie pastora; grzeszna i krnąbrna, zawsze taka była, nawet gdy Janet jako kruszyna ledwie sięgała głową do maminych kolan.

Jej siostry posłusznie uczęszczały do szkoły, przyswajały wiedzę, uczyły się szyć i czytać, tymczasem ona wiecznie wagarowała. Chadzała na plażę za portem, stawiała na wysokich kruszejących klifach, pośród ruin starego zamku, i wpatrywała się w błyszczące na horyzoncie brązowe żagle lugierów z Penlivy.

– Panie Boże, proszę, uczyni mnie chłopcem, nim dorosnę – modliła się ta mała, nie wyższa od żołnierskiego buta, o spływających na policzki lokach.

Matka rugała ją, biła i łajała za to, że wałkoni się jak jakiś pogański młokos, lecz wszystko na próżno. Tylko niepotrzebnie strzępiła różgę.

Janet rzeczywiście wyrosła niczym młodzieniec: wysoka, wyprostowana, o pewnym chwycie, nieustraszonemu spojrzeniu i sercu pełnym miłości do morza. Zarazem w głębi duszy była wrażliwą dziewczyną z krwi i kości, czułą dla zwierząt i bezbronnych

słabych stworzeń, i właśnie dlatego tak ochoczo przywdziewała suknię, przypinała kwiat do dopasowanej góry i zaczesywała czarne loki tak, by nie spadały na czoło. W każdą niedzielę przed furtką domu czekali na nią mężczyźni, by zaproponować jej spacer ścieżką prowadzącą na klif. Stali zakłopotani, nie bardzo wiedząc, co robić z rękami, i patrzyli na nią z cielęcym uwielbieniem; zapominali języka w gębie, a gdy już go odnajdywali, Janet w odpowiedzi wybuchała śmiechem, odrzucając głowę do tyłu.

Chodziła tylko z tymi, z którymi mogła biegać i przeskakiwać przez żywopłoty i którzy podziwiali ją za te umiejętności; nie chciała snuć się z nimi ramię w ramię, muskać się dłońmi jak para zakochanych. Lada moment zostanie poślubiona, będzie miała męża i dom na głowie, zacznie nosić schludny czepek i niewygodną spódnicę do kostek.

Ale przynajmniej wyjdzie za mężczyznę, którego pragnęła, a nie za jakiegoś wielkiego brutala, niepotrafiącego sklecić prostego zdania, tylko z nadzieją wypatrującego przychylnego spojrzenia bądź łagodnego słowa. Tak sobie tłumaczyła, skończywszy osiemnaście lat, gdy jej siostry zajmowało jedynie wiązanie wstążeczek we włosach i przypatrywanie się mężczyznom w kościele sponad stronic hymnałów.

Janet gardziła taką postawą, acz wcale nie była lepsza od sióstr; też przecież nie słuchała kazań pastora, jej myśli wędrowały bowiem daleko, przez morza, tam gdzie statki zawijały do przystani w nieznanym dalekich krajach.

Nogi często niosły ją do stoczni, która ulokowała się przy portowej pochylni u stóp wzgórza nad Płyn. Właścicielem był jej wuj. Zakład, choć niewielki, miał się dobrze i z roku na rok coraz prężniej się rozwijał. Poza tym wujowi pomagał jego pracowity bratanek, młody Thomas Coombe, kuzyn Janet w drugiej linii.

Thomas pobierał nauki w Plymouth, był poważny i opanowany; otaczała go aura spokoju, która imponowała nie tylko jego

stryjowi, ale też pracującym u niego leniwym próżniakom.

Nie można było wykluczyć, że w niedługim czasie stocznia zacznie przyjmować zlecenia na produkcję cięższych i bardziej skomplikowanych jednostek niż zwykle rybackie lugery. Młody Thomas zostanie współnikiem, a po śmierci stryja przejmie po nim interes.

Był chwackim kawalerem, elokwentnym i nawet przystojnym, jeśli się nad tym zastanowić. Brakowało mu czasu na amory i niedzielne spacery ścieżką wiodącą na klif, mimo to miał Janet na oku; wydawała mu się znakomitym materiałem na żonę, godną partnerkę na życie dla każdego mężczyzny.

Pewnego wieczoru zdarzyło się, że młody Thomas zaszedł do nich w odwiedziny i zajęty rozmową z rodzicami Janet, nie potrafił oderwać od niej myśli. Oczami wyobraźni widział porośnięty bluszczem dom w połowie drogi na szczyt wzgórza nad Plyn, z widokiem na port, swój powrót po całym dniu pracy i czekającą na niego Janet z dziećmi u boku.

Minął rok, nim zdecydował się wyjawić jej swoje myśli. Zależało mu, by najpierw poznała go równie dobrze jak członka własnej rodziny, by mu zaufała i nabrała szacunku.

Krótko po dziewiętnastych urodzinach Janet wyjawił jej ojcu i matce, że pragnie pojąć za żonę ich córkę. Oboje okazali wielkie zadowolenie, jako że ów rzutki przedsiębiorca z Plyn był statecznym i uczciwym kandydatem, o jakim mógł marzyć każdy rodzic.

Któregoś wieczoru przybył do domu państwa Coombe i poprosił o spotkanie w cztery oczy z Janet.

Zbiegła po schodach, ubrana schludnie i skromnie, z medalionem na piersi i równym przedziałkiem pośrodku głowy.

– Kuzynie Thomasie! – zakrzyknęła. – Jeszcze wcześniej, posiłek niegotowy, a jedyne towarzystwo znajdziesz we mnie.

– Tak, Janet, wiem. – odparł cicho. – Odwiedzam cię w pewnym szczególnym celu. Chciałbym ci bowiem zadać pytanie.

Oblała się rumieńcem i łypnęła w stronę okna. Czy nie o tym właśnie opowiadały jej siostry jakiś czas temu i czy nie śmiała się razem z nimi, puszczając ich gadanie mimo uszu?

– Słucham, kuzynie Thomasie. Kto wie, może odpowiem chętnie i niezbyt zawile.

Wziął ją za rękę i zaprowadził do fotela przy kominku.

– Janet, przez dwanaście miesięcy byłem tu stałym gościem. Przyglądałem się twym poczynaniom i chłonałem twoje słowa. Dlatego wiedz, że to, co ci teraz powiem, nie jest bynajmniej pochopne ani nieprzemyślane. Przez te dwanaście miesięcy, gdy cię obserwowałem, zrodziła się we mnie miłość do twojego czystego serca i prostoty, a także potrzeba pomówienia z tobą otwarcie. Otóż pragnę z całej duszy, byś została moją żoną. Chcę dzielić z tobą dom i serce. Obiecuję zrobić wszystko, abyś była spokojna i zadowolona.

Nie cofnęła dłoni, którą nadal trzymał, i na chwilę zatopiła się w myślach.

Pomyślała wtedy, że ledwie przemieniła się z małego dziecka w dorastającą dziewczę, a już musi stać się kobietą – i być nią do samego końca. Nie będzie już zadzierania spódnicy i biegania po skałach, koniec z wałęsaniem się po wzgórzach z owcami. Zajmie się domem i mężem, a później, jeśli Bóg pozwoli, także dzieckiem, które zrodzi się z ich związku.

Gdy tylko przyszło jej to do głowy, poczuła się tak, jakby coś dotknęło jej duszy; było to niczym pamiątka snu bądź czegoś niejasnego, z dawna zapomnianego, promień olśnienia, padający na człowieka jedynie w najdziwniejszych okolicznościach, a nigdy wówczas, gdy świadomie się go wypatruje. Doleciało do niej niemal niesłyszalne wołanie, ciche jak bezdźwięczny szept.

Spojrzała na młodego człowieka z uśmiechem na ustach.

– To zaszczyt, Thomasie, i duma dla kogoś takiego jak ja, niedorównującego ci intelektem i niezasługującego na ciebie. Zarazem

niezwykle miło dziewczynie słyszeć, że jest ktoś, kto będzie ją z troską miłował. Jeśli twoim życzeniem jest poślubić mnie wraz ze wszystkimi moimi przywarami, a przyznaję, że bywam rozhukana, z radością zostanę twoją żoną i zadbam o ciebie.

– Janet, moja droga, nie ma dziś w Płyn mężczyzny szczęśliwszego ode mnie, to pewne. I nie będzie, dopóki razem nie zasiądziemy przy wspólnym kominku. – Thomas wstał i wziął Janet w objęcia. – Skoro zgodziłaś się wyjść za mnie, a twoi rodzice, z którymi niedawno rozmawiałem, są nam przychylni, nie stanie się chyba nic złego i będzie to wręcz stosowne, jeśli cię teraz pocałuję.

Zawahała się, albowiem nigdy nie całowała mężczyzny, jeśli nie liczyć własnego ojca.

Położyła dłonie na ramionach Thomasa i spojrzała mu prosto w oczy.

– Stosowność nie ma nic do rzeczy – powiedziała po wszystkim. – Liczy się to, że było wspaniale.

W ten oto sposób w roku 1830 Janet przyobiegała siebie kuzynowi Thomasowi Coombe'owi z Płyn w Kornwalii. Miał dwadzieścia pięć lat; ona niedawno skończyła dziewiętnaście.

Teraz mgła opadła i Płyn wyłoniło się z cienia. Od strony portu podnosiły się głosy, mewy nurkowały w wodzie, ludzie stali w drzwiach swych domostw.

Janet nadal wpatrywała się w morze ze szczytu wzgórza i mogłoby się zdawać, że w jej duszy dziewczyna, która pragnie być żoną mężczyzny, troszczyć się o niego i kochać czule, ściera się z tą, której zależy wyłącznie na stopieniu się w jedno ze statkiem, morzem i niebem nad głową i na tym wzlecieć wolna jak mewa.

Odwróciła się i ujrzała wspinającego się ku niej Thomasa. Uśmiechnęła się i podbiegła do niego.

– Zamiast robić rzecz występną i spotykać się z przyszłym mężem, nim zostanę mu przyrzeczona przed Bogiem – powiedziała – winnam być w domu i przygotowywać się do zaślubin, a nie tu,

na wzgórzu, trzymać się z tobą za ręce.

Wziął ją w ramiona.

– Nie dbałbym o to, nawet gdybyśmy nie byli tutaj sami – wyszeptał. – Szalenie mocno cię kocham, Janie.

Owce pasły się leniwie na łące, powietrze wypełniała słodka woń kolcolistu.

Kiedyż w końcu dzwony w Lanoc zaczną wzywać wiernych do kościoła?

– Dziwną wydaje mi się myśl, że już nigdy się nie rozstaniemy, Thomasie – rzekła. – Ni w nocy, ni za dnia, gdy będziesz pracował, a ja będę krzątała się w domu, nawet wówczas będziemy przy sobie myślami. – Złożyła głowę na jego ramieniu. – Czy małżeństwo to aż tak poważna rzecz?

– Owszem, ukochana. Lecz nie obawiaj się, świętemu związkowi dwojga dusz Pan błogosławi. Tak powiedział pastor, gdy mi objaśniał pewne sprawy, które jawiły mi się zbyt trudne i krępujące. Będę dla ciebie dobrym, Janie.

– Gdy w przypływie złości będziemy sobie wzajem przymawiać ostrymi słowy, jeszcze pożałujesz, żeśmy się w ogóle pobrali.

– Nigdy! Nigdy!

– I dziwnie pomyśleć, że całe nasze dalsze życie będzie się toczyło tutaj, w Płyn. Pora zapomnieć o włóczędce, Thomasie, tak jak wielu innym ludziom. Nasze dzieci wyrosną przy nas i przy nas zostaną zaślubione, a potem tak samo będzie z ich potomstwem. Zestarzejemy się i na koniec oboje spoczniemy w ziemi przy kościele w Lanoc. To pewne, jak to, że latem kwiaty obracają buzie ku słońcu; jak to, że wraz z pierwszymi opadającymi liśćmi ptaki odlatują na południe. Tymczasem tu i teraz nie zastanawiamy się nad tym, nie dopuszczamy tego do siebie.

– Grzechem jest mówić o śmierci i o tym, co dopiero przyjdzie. Wszystko w rękach Boga, nie nam podważać Jego wyroki. Nie chcę teraz myśleć o dzieciach naszych dzieci, lecz o nas

dwojgu w tym dniu, gdy mamy połączyć się na zawsze. Kocham cię do obłędu, Janie.

Przywarła do jego piersi i spojrzała ponad jego ramieniem.

– Za sto lat będzie tu stało dwoje zupełnie innych, a jednak tak bardzo podobnych do nas ludzi. Krew z naszej krwi, ciało z naszego ciała. – Zadrżała.

– Opowiadasz rzeczy dziwne i niestworzone, Janie. Lepiej, byś myślała o nas dziś, nie o tym, co nastanie, gdy nas już nie będzie.

– Nie spoglądam z trwogą na siebie, Thomasie – wyszeptała – lecz na tych, co zapewne przyjdą po nas. Bo to od ciebie i ode mnie może zależeć wiele istnień daleko w przyszłości. I tak jak my teraz, będą stać o poranku na wzgórzu nad Plyn.

– Pójdź do pastora, Janie, skoro bierze cię trwoga, i poproś, by pomógł przynieść ukojenie myślom. On wie najlepiej, jak postąpić, i czerpie tę wiedzę z nocnych studiów nad Biblią.

– Nie Biblia nas ocali, Thomasie, nie słowa pastora ani moje nieustanne modlitwy do Pana; nie zdoła tego uczynić podpatrywanie ptaków i zwierząt, słuchanie cichych, migoczących w słońcu fal ani nawet bezcenny widok Plyn, mimo że wszystkie te rzeczy są bliskie i drogie memu sercu.

– O cóż więc chodzi, Janie?

– Wiele jest słów i wiele można nimi wyrazić, lecz w głębi duszy wiem, że liczy się dla mnie tylko jedno: abyśmy ty i ja kochali się wzajemnie i mieli dość miłości dla tych, co przyjdą po nas.

W milczeniu zeszli ze wzgórza.

W drzwiach domu czekała na nich matka Janet.

– Gdzie się podziewaliście?! – zakrzyknęła. – Ani to przyzwolite, ani słuszne, Thomasie, rozmawiać z przyszłą żoną, zanim powitasz ją w kościele. A ty, Janet? Jak ci nie wstyd w dniu zamążpójścia biegać w starej sukni na wzgórze? W pokoju czekają na ciebie siostry, by ubrać cię do ślubu. Lada moment zaczną się schodzić goście, a tyś nawet jeszcze nie gotowa! Zmykaj, Thomasie, i ty też!

Janet poszła na górę do niewielkiego pokoju, który dzieliła z dwiema siostrami.

– Janie! – zawołały na jej widok. – Prędko, prędko! Ty to masz talent do marnowania czasu, i to w taki dzień!

Z utęsknieniem przesunęły dłońmi po rozłożonej na łóżku białej sukni.

– Pomyśleć, że za dwie godziny staniesz się mężatką... i kobietą. Gdyby to chodziło o nas, zaniemówiłybyśmy na samą myśl. Dziś w nocy zaśniesz nie z nami, lecz u boku kuzyna Thomasa. Boisz się?

Janet zastanowiła się i pokręciła głową.

– Gdy kogoś kochasz, nie masz się czego bać.

Ubrały ją w suknię ślubną i nałożyły jej welon na głowę.

– Ach, Janie, wyglądasz jak królowa – zachwyciły się i podsunęły jej popękane małe zwierciadło, by mogła się przejrzeć.

Jakże obca wydała się samej sobie. Nie była już tą dawną niesforą Janet, która włóczyła się nad brzegiem morza, lecz jakąś potulną bladą dziewczyną o poważnym spojrzeniu ciemnych oczu.

– Zjedz coś, inaczej padniesz! – zawołała z dołu matka. – Chodź do kuchni.

– Nie jestem głodna – powiedziała Janet. – Ale wy idźcie, nie oglądajcie się na mnie. Chcę nareszcie zostać sama.

Przyklękła przy oknie i powiodła wzrokiem ku portowi. W jej sercu kłębiło się wiele osobliwych, niewytłumaczalnych uczuć, z których żadnego nie potrafiła nazwać. Szczerze kochała Thomasa, lecz w głębi duszy wiedziała, że czeka na nią coś znacznie wspańialszego aniżeli miłość do tego mężczyzny. Coś silnego i pierwotnego, rozświetlonego nieprzemijającym pięknem.

Pewnego dnia przyjdzie to do niej, ale jeszcze nie dziś.

Zza wzgórza doleciało bicie dzwonów kościoła w Lanoc, z początku ciche, jakby przytłumione, potem coraz głośniejsze i bardziej natarczywe.

– Janie, gdzie ty się podziewasz?

Wstała od okna i zeszła na dół, gdzie już czekali na nią goście.

2

Janet Coombe zmieniła się po ślubie. Stała się cichsza i bardziej zamyślona, nie biegła już po wzgórzach tak jak dawniej. Nie uszło to rzecz jasna uwagi matki i sąsiadek; rozmawiały o Janet, nie szczędząc uśmiechów i mądrych słów.

– Mąż tak na nią wpłynął, ale czy może być coś naturalniejszego? Jest teraz kobietą i niczego nie pragnie tak bardzo, jak wypełniać mężowską wolę. To jedyny sposób na taką dziewczynę jak Janet, by pozbyć się z jej myśli morza, wzgórz i tych wszystkich niedorzeczności. Młody Thomas znalazł sposób na ugłaskanie jej umysłu i rozbudzenie w niej właściwych odruchów.

W pewnym sensie mówiły całkiem słusznie, ponieważ rzeczywiście wraz z małżeństwem i Thomasem Janet ogarnęło poczucie spokoju i błogiego zadowolenia, jakiego dotąd nie знаła i którego nie umiała sobie wytłumaczyć. Jak gdyby miłość i troska Thomasa miały moc kojenia roztrzęsionych myśli i burzliwych emocji.

Brało się to z nowej, osobliwej bliskości między nimi, która wprawdzie mogła odmienić Janet na krótką metę, lecz nie była w stanie okiełznać jej niespokojnego ducha.

Spoczął jedynie i zasnął na chwilę, gdy całą sobą oddała się swojemu nowemu oczku w głowie. Zarzuciła wyprawy na wzgórze, by spoglądać z góry na port, przestała wypatrywać statków na

dalekim horyzoncie i zamiast tego zajęła się własnym domostwem.

Na ich rodzinne gniazdo Thomas wybrał porośnięty bluszczem urokliwy dom stojący w pewnym oddaleniu od ciekawskich spojrzeń sąsiadów. Mieli ogród, gdzie lubił wieczorami uprzyjemniać sobie czas u boku żony, która nie rozstawiała się z robótką. Minęły czasy, gdy snuła się wśród łodzi w stoczni; teraz musiała dbać o męzowskie ubranie, cerować je w miarę potrzeb i szyć zasłony do niedużego salonu.

Sama przed sobą nie potrafiła wyjść z podziwu, jak wiele miłości i dumy zdołała odnaleźć w sercu, by obdarzyć nimi nowy dom.

Przypominało jej się, ileż to razy śmiała się i drwiła przy siostrach:

– Ja to nigdy nie wyjdę za mąż i nie będę trwonila czasu na zajmowanie się domem. Powinnam być chłopcem i pływać na statku.

A teraz co? W całym Płyn próżno było szukać drugiego równie nieskazitelnie czystego domu jak ten, w którym mieszkali Thomas i Janet, a gdy siostry zdumione pytały: „Jak to możliwe?”, jedynie kręciła głową i ucinała dyskusje w swoim ciętym stylu:

– Śmiecie się do woli. Lecz to ja mam własny dom i męża, który na mnie pracuje, a wy tylko wygadanych adoratorów, prowadzących was w niedziele ścieżką nad klif. Siedząc przy kominku u boku męża, oczami wyobraźni widzę, jak ziewnięciami kwitujecie ich puste słowa. Zastanówcie się nad tym.

Z zapamiętaniem opowiadała o Domu pod Bluszczem, jak go nazywała. O ładnych, starannie zamiecionych wnętrzach, dużej sypialni nad gankiem i pozostałych pokojach, „może na później”, oraz jej dobrze wyposażonej – własnej – kuchni. Była dumna ze swojego gotowania, poświęciwszy mu bowiem należyta uwagę, odkryła, iż fascynuje ją niemal tak samo jak wędrowanie po wrzosowiskach na wzgórzach. Thomas orzekł, że jej szafranowe ciasto w niczym nie ustępuje temu, które piecze jej matka, i widać było, jak bardzo jest z niej zadowolony.

– Robisz niezwykle postępy, Janie. Wyczuwam w twoich wypowiedziach lekkość, z jaką nigdy dotąd się nie spotkałem.

Gdy to powiedział, ukryła uśmiech i odwróciła wzrok.

– Pochlebiasz mi i raczysz mnie gładkimi słowy – odparła. – To ciasta moje lubisz, a nie mnie.

Wstał od stołu, ujął twarz żony w dłonie i złożył na jej ustach taki pocałunek, że mało nie zemdląła z braku tchu.

– Przestań, Thomasie, mówię ci, przestań.

Westchnął i odsunął ją od siebie.

– Okropny jestem, Janie, okropny.

Przytulała męża w ciemności, gdy spał z czołem przyklejonym do jej policzka. Kochała go za jego siłę i za łagodność, z jaką się do niej odnosił, za ponurość, gdy był w kiepskim nastroju, i za te chwile, gdy niczym niezgrabne dziecko przywierał do niej w obawie przed samym sobą.

– Będiesz moja zawsze i po wsze czasy, Janie? Powiedz to, wyszepecz, bo tak miło słyszeć te słowa.

I powiedziała, wyszeptała, albowiem wiedziała doskonale, że pozostanie jego kochającą, wierną żoną aż do śmierci. Wiedziała zarazem, iż czeka na nią inna – donioślejsza – miłość. Z której strony miała nadejść? Tego Janet nie wiedziała. Lecz ta miłość była tam, tuż za łukiem wzgórz, czekała, aż ona będzie na nią gotowa.

Pierwsze tygodnie zeszły im na przywykaniu do siebie. Janet z wolna przyzwyczajała się do ciągłej obecności Thomasa, do jego nieustającego pragnienia bycia blisko niej.

Rankami zajmowała się domem, a po południu zanosila posiłek mężowi, który cały dzień w pocie czoła pracował w stoczni, i siedziała przy nim, gdy jadł.

Uwielbiała wielkie pnie drzew, stare i dobrze sezonowane, czekające na pocięcie na deski. Przepadala za widokiem trocin na ziemi, za świeżo splecionymi linami i wonią smoły, za surowymi, nie w pełni uformowanymi kształtami łodzi. Gdy patrzyła na nie,

przychodziło jej do głowy, że pewnego dnia te deski przeistoczą się w żywy organizm i będą pruć fale, mając wicher za towarzysza; być może wyruszą w wielki świat, pozostawiając ją, kobietę z Płyn, samą na łodzi, z mężem i domem. Starła się odcinać od takich myśli, należały bowiem do dawnej Janet i nie przystawały do żony Thomasa Coombe'a. Nie wolno jej było zapominać, że nie nosi już prostej spódnicy, w której można się wspinać na skały za ruinami zamku, lecz suknię z drukowanej tkaniny i zgrzebny fartuch. Bywało, że popołudniami wkładała czepek i szła pod górę, do domu rodziców, gdzie w salonie od frontu zbierały się sąsiadki, by toczyć rozmowy przy cieście i herbacie.

Dziwnie się czuła, ponieważ teraz te kobiety traktowały ją jak jedną z nich, podczas gdy całkiem niedawno rugały ją i besztwały za bycie dziewczęciem bez manier. Ileż to razy przykładła oko do dziurki od klucza i osłaniając usta chusteczką, żeby nie parsknąć śmiechem, przysłuchiwała się pogaduszkom sąsiadek. A teraz proszę, stała się taka jak one; siedziała sztywno, trzymając w dłoniach spodeczek z filizanką, dopytywała starą panią Collins o jej bóle reumatyczne i razem ze wszystkimi kręciła z niedowierzaniem głową, słuchając o szokujących wyczynach Albiego Trevase'a, który zrobił dziecko dziewczynie z farmy Polmear.

– Ostatnimi czasy młodzi ludzie nie mają za grosz szacunku dla siebie samych i dla innych – skomentowała pani Rogers. – To całe bieganie, śmiechy i robienie, co się żywnie podoba, od rana do wieczora... Chłopcy nie chcą czekać do ślubu, mimo że to by było stosowne, dziewczęta zresztą też nie. Powinna pani modlić się do Boga i dziękować mu sowicie, że panią ochronił, pani Coombe – zwróciła się do Janet. – Tym swoim pogańskim bieganiem bez opieki przysporzyła pani matce wiele zgryzot.

– W istocie, pani Rogers – przyznała matka Janet. – Niemniej moja Janie nigdy nie pozwalała chłopcom na zbytnią poufałość.

– Absolutnie nie – zapewniła Janet z oburzeniem młodej żony.

– Może nie, może nie. Nie twierdzę, że tak było, moja droga. Teraz, gdy już jesteś mężatką, możesz robić to, czego oczekuje od ciebie mąż, nie obawiając się Bożego gniewu. Posłuchaj mojej rady: aby zatrzymać męża przy sobie, należy dbać o jego potrzeby, inaczej twój Thomas zacznie się wymykać do wiejskich dziewczuch, tak jak to zrobił młody Albie Trevase. Warto to sobie zapamiętać, pani Coombe.

Janet z pogardą pokręciła głową. Mogą sobie mówić o Thomasie, co tylko chcą, a i tak w całej Kornwalii próżno szukać spokojniejszego i stateczniejszego mężczyzny.

Trzymała usta w ciup i nie reagowała na padające pod jej adresem dociekliwe pytania. Płyn lubiło wiedzieć wszystko o swoich mieszkańcach; sąsiadki zwykle dopóty znęcały się nad interesującym je tematem, dopóki zamęczyły biedaczki na śmierć.

– Jeśli rano robi ci się niedobrze albo poczujesz się dziwnie, bezzwłocznie idź z tym do matki, moja droga – poradziła jedna z nich, mierzając Janet wzrokiem jak, nie przymierzając, lochę na rynku.

– Jak cię wpierw zakłuje pod sercem, to niezawodnie będzie chłopak – dodała inna.

– Sama potrafię o siebie zadbać, bardzo dziękuję. Nie potrzebuję wiedzy ze zbyt wielu różnych źródeł – zaripostowała Janet, która nie cierpiała ich wścibstwa. Swoją drogą, nawet Thomas wydawał się zaniepokojony zdrowiem żony.

– Błada dziś jesteś, Janie – zauważył. – Czujesz się zmęczona i rozbita? Powiedziałybyś mi, gdyby tak było, prawda?

Zupełnie jakby zależało mu na tym, żeby przyznała, że tak, nie czuje się najlepiej – i zarazem bał się jej odpowiedzi.

– Owszem, mój drogi. Gdy nadejdzie pora, wszystkiego się dowiesz. Zresztą i tak nic się przed tobą nie ukryje – odparła ze znużeniem Janet.

Ostatnio rzeczywiście bywało jej słabo i miewała nudności, ale

uznała, że to nic – przejdzie. Thomas lepiej się orientował. Objął żonę i zanurzył twarz w jej długich, ciemnych włosach.

– Brałem cię za żonę z dumą, radością w sercu i przekonaniem, iż nigdy już nie poczuję nic równie doniosłego. Myliłem się, Janie. Oto bowiem mam wrażenie, że nie ma na świecie nikogo szczęśliwszego ode mnie. A to dlatego, że cię kocham. I oczami wyobraźni widzę naszego malca na twoim kolanie, gdy siedzimy we troje przy kominku.

Janet uśmiechnęła się i obiema dłońmi dotknęła jego twarzy.

– Cieszę się, że sprawiam ci radość, mój kochany.

Wkrótce rozniosło się po całym Płyn, iż Janet Coombe jest „przy nadziei”.

Matka Janet zachowywała się tak, jakby to była jej zasługa, a siostry zaczęły już wybierać wykroje na ubranka z białej miękkiej wełny.

Uwijając się w stoczni, Thomas podśpiewywał z uśmiechem na ustach, chociaż myślał o przyszłości bardzo poważnie i wyobrażał sobie, jak to będzie. Wkrótce Janet urodzi mu syna i ani się obejrzą, a chłopak zacznie pomagać w pracy, pozna tajniki zawodu, nauczy się posługiwać piłą i wybierać najlepsze deski. Bo to przecież oczywiste, że dziecko, które się narodzi, będzie chłopcem.

Zdaniem Janet robiono zbyt wiele szumu i zamieszania wokół czegoś tak w istocie zwyczajnego. Sądząc po sposobie, w jaki wypowiadali się Thomas i jej matka, można było pomyśleć, że jeszcze nigdy nie przyszło na świat dziecko.

Sama nie do końca wiedziała, co myśleć. Cięża wydawała jej się naturalną konsekwencją małżeństwa, poza tym przyjemnie i zarazem trochę osobliwie będzie mieć małą istotkę, którą trzeba ubrać i o którą należy się zatroszczyć. W wielką radość wprawiała ją myśl, że Thomas jest szczęśliwy. Wieczorami, pod troskliwym spojrzeniem męża, siadywała w bujanym fotelu przy kominku, bo zbliżała się zima i nocami robiło się chłodno.

W domu panował spokój. Zimny deszcz, wilgotne zamglone wzgórza i huk wzburzonej wody w porcie pozostały za drzwiami i nie zaprzętały myśli Janet. Szumiący czajnik, kolacja na stole, migoczące w ciszy świece – i dłoń Thomasa na jej dłoni, i dziecko w drodze.

Była spokojna i odprężona, nie bała się bólu pomimo okropnych opowieści, które sąsiadki uporczywie sęczyły jej do uszu. Próżno było szukać w Płyn szczęśliwszego domostwa niż to zajmowane przez Thomasa i Janet.

Bywało, że pod wieczór czytywał jej ustępy z Biblii niskim, poważnym głosem, z wyprzedzeniem literując sobie co trudniejsze słowa.

– Lubię myśleć o tych wszystkich ludziach pochodzących jeden od drugiego. O trwającej przez wieki historii rodów – powiedziała z rozważą Janet, kołysząc się w fotelu. – Gdyby nie pierwsi mężczyzna i kobieta, nie byłoby nas tutaj. Spłodzenie dziecka to wielka odpowiedzialność ciążyąca na dwojgu ludzi. Będziecie się mnożyć w nieskończoność, jak mówi Biblia. Z naszej miłości, Thomasie, zrodzi się potomstwo, z niego zaś kolejne i tak dalej, aż nie sposób będzie je zliczyć.

– Uwolnij głowę od takich zmartwień, najdroższa. Zawsze wybiegasz myślami sto lat do przodu i roją ci się dziwaczne niedorzeczności. Pomyśl lepiej o chłopcu, którego wkrótce wydasz na świat. Sądzę, że to na nim powinnaś się skupić.

– Sama nie wiem. Życie i miłość jawią mi się jako niezwykle osobliwości. I to, że ludzie umierają.

– Ależ, Janie, pastor mówi, że każdy człowiek prawdziwej wiary pójdzie wprost do nieba i zasiądzie pośród aniołów u boku Boga.

– A jeśli zostawi tu, na ziemi, kogoś, kogo kocha, lecz słabego i w budzącym litość stanie, kogoś, kto nie będzie mógł sam chodzić po tym świecie?

– Bóg się o niego zatroszczy, Janie.

– Któż byłby w stanie żyć w niebie i mieć spokojne sumienie, jednocześnie zamartwiając się losem najbliższych, których pozostawił na ziemi? Pomyśl o nich, Thomasie, jak wołają ratunku, jak proszą o pomoc.

– Pohamuj się, najdroższa. Biblia mówi prawdę. Radość z przebywania w niebie wykracza poza ludzkie pojmowanie. Ludzie są tam tak szczęśliwi, że nie poświęcają refleksji grzesznemu światu.

Porywisty wiatr ciężko wzdychał, stukał o szyby i żałośnie był niczym zagubiona dusza. Płomienie świec drżały i mrugały. Zaczęło padać i wieczorne powietrze wypełnił smutek do spółki z płaczem. U stóp klifów rozjuszona morze z hukiem biło o skały. Drzewa wyginały się na wietrze, zrzucając ostatnie mokre liście.

Thomas zaciągnął zasłony i podsunął bujany fotel bliżej kominka.

– Ogrzewaj się, kochana. Nie zważaj na wiatr i deszcz.

Janet opatulila się szalem i wbiła spojrzenie w migotliwy taniec płomieni.

– Nie będę czekać w niebie ani też nie spocznę w grobie – powiedziała. – Duch mój pozostanie przy tych, których kocham. A gdy najdzie ich przygnębienie bądź strach, przybędę do nich. I nawet Bóg mi w tym nie przeszkodzi.

Thomas z westchnieniem zamknął Biblię i odłożył ją na półkę w rogu.

Wiedział, że nie wolno mu łajać żony za jej słowa, kobiety w takim stanie miewają bowiem najdziwniejsze pomysły.

Podniósł dziecięcą skarpetkę, która upadła na podłogę.

– Okropnie mała, Janie – zauważył z niepokojem. – Jego stopa naprawdę nie będzie większa?

3

Powoli mijały długie zimowe miesiące, nadeszło i zaraz minęło Boże Narodzenie, a za jakiś czas nareszcie dało się wyczuć w powietrzu pierwsze tchnienie wiosny. Rankami przestały doskwierać siarczyste mrozy, gałęzie drzew rozłożyły się ku słońcu i rozchyliły zaciśnięte pąki.

Na łąkach powyżej Płyn hasały białe owce, a w nisko położonych osłoniętych zakątkach kwitły blade pierwiosnki.

Dla Janet Coombe zbliżał się czas rozwiązania, toteż w Domu pod Bluszczem panowała radosna atmosfera tajemnicy i oczekiwania.

Matka Janet wpadała i wypadała z całym swym grymaśnym zaferowaniem, aby odciążyć córkę w gotowaniu i sprzątaniu. Thomas zrobił się kąśliwy i niecierpliwy; nie oszczędzał pracownikom stoczni ciężkich słów, a nawet wiecznie rozkojarzonemu dobrodusznemu stryjowi. Wybaczali mu, bo rozumieli, że dla młodego mężczyzny to bardzo niespokojne, nerwowe chwile.

Janet przyglądała się temu zamieszaniu z uśmiechem na ustach i z pełną zdumienia rozbawioną miną. Ani trochę nie czuła się tak, jakby cokolwiek jej dolegało; było dla niej naturalne i oczywiste, że dziecko przyjdzie na świat wiosną.

Przecież tyle razy pomagała nosić nowo narodzone jagniątko z łąki na farmie Polmear i widziała cierpliwe spojrzenia krów liżących przestraszone, ledwo trzymające się na rozdygotanych nogach cielaki.

Zdawało jej się, że nie ma nic prostszego i banalniejszego niż narodziny małej istoty, czy to dziecka w chacie, czy jagnięcia na wzgórzach. W ostatecznym rozrachunku wszystko sprowadza się do tego samego. Jagnię głośno domaga się jedzenia i pociechy, mości się u boku owcy, a ta mu je daje. Kobieta natomiast tuli dziecko do piersi. Janet za nic nie pojmowała sensu szeptów, znaczących kiwnięć głową, wiązania wstążek na kolebce w sypialni, wymownego uśmiechu matki, którym obdarzała zaglądające z wizytą wścibskie sąsiadki, i udręczonych, błagalnych prośb Thomasa, by położyła się i nie przemęczała.

– Życzylabym sobie, żebyście wszyscy stąd poszli, zajęli się własnymi sprawami i dali mi spokój. Nie boję się bólu ani trudu i gdyby to ode mnie zależało, zostawiłabym wam wiązanie wstążek i gotowanie zup i poszłabym na łąkę, by tam urodzić, pośród krów i owiec, które mnie rozumieją.

– Boże miłosierny, jeśli naprawdę o tym myślisz, musisz się czym prędzej położyć do łóżka! – wykrzyknęła matka i zaczęła poganiać córkę na górę.

Dwa dni później, piątego marca, urodził się syn Janet, Samuel.

– To był piękny poród – oznajmiła starsza pani Coombe sąsiadkom. – Przebiegło łatwiej i sprawniej, niż żeśmy się z doktorem spodziewali. Dzielna dziewczyna z tej mojej córki. Chłopak to okaz zdrowia i jest podobny do ojca jak dwie krople wody.

Dla uczczenia okazji rozwieszono w stoczni flagi i postawiono kolejkę pracownikom.

Janet leżała wsparta na poduchach z włosami odgarniętymi z twarzy i rozmarzonym wzrokiem utkwionym w trzymanym na rękach dziecku.

Cóż za niezwykła istota, kruszyna o maleńkiej łysej główce i łzawiących niebieskich oczach. Janet nie dostrzegała w niej żadnego podobieństwa do Thomasa, mimo że usilnie starała się go doszukać. Miała nadzieję, że zapamięta, by nie nazywać dziecka „istotą”, lecz „synkiem”, lub mówić o nim po imieniu.

Niemniej przyjemnie, choć dziwnie było czuć przy sobie ma-lutkie ciepłe ciało i wiedzieć, że jest się jego stwórczynią. Natomiast Thomas – jego oblicze promieniało radością.

Wszedł do pokoju na palcach, stąpając w skrzypiących ciężkich butach, cały czerwony na twarzy i z błękitnymi oczami niemal wy-lażącymi z orbit.

– Janie, bardzo źle się czujesz? – spytał niskim, ochrypłym szeptem.

Pokręciła głową, ukrywając uśmiech, żeby nie rozdrażnić męża. Zsunęła pled i odsłoniła przed nim ich leżącego w zgięciu matczynego ramienia chłopca. Thomas rozdziawił usta, nogi pod nim niemal się ugięły i stał tak, z coraz szerszym uśmiechem wpa-trując się w maleństwo. Widząc, jak mąż bez słowa kołysze się w tę i we w tę, Janet nie zdołała opanować śmiechu.

– Chyba nigdy nie widziałeś dziecka – skomentowała. – Do-tknij go, przekonaj się, że jest naprawdę żywy!

Thomas ostrożnie wyciągnął palec i położył go na policzku syna.

Chłopczyk rozchylił powieki i zamrugał.

– Widziałaś?! – zakrzyknął zachwycony Thomas. – W lot mnie rozpoznał.

– Niedorzeczność – stwierdziła jego teściowa. – Maleństwo jeszcze nawet dobrze nie widzi. Kto to słyszał! – zbulwersowała się i wypchnęła Thomasa z pokoju z obawy, że jego niepoważne zachowanie nadwyręży córkę.

Janet nie trwoniła czasu, szybko stanęła na nogach i znów była sobą.

Samuel okazał się dobrym dzieckiem i nie przysparzał matce zbyt wiele kłopotu. Nie marudził ani nie płakał zbyt często, zachowywał się jak normalne zdrowe niemowlę. Thomas rzadko rozstawał się z synem i niechętnie chodził pracować do stoczni. Ku swej dumie i radości dostał od żony pozwolenie, by w niedzielne popołudnia, gdy zwyczajowo odwiedzali babkę Samuela w domu na wzgórzu, móc nieść go całą drogę na rękach.

Janet mozolnie wspinała się u jego boku, wdzięczna, że została choć na chwilę uwolniona od ciężaru. Thomas kroczył pewnie i niespiesznie, z wysoko uniesioną głową, co rusz zatrzymując się, ażeby pochwalić się malcem tej czy innej sąsiadce.

– Chłopak jest za panem, panie Coombe – mówiły. – I jaki podobny! Toż to przecież pańskie oczy w tej drobnej główce, zupełnie taki sam kolor.

– Nie żartuje pani? – upewnił się z uśmiechem Thomas. – Słyszałaś, Janie? Pani Rogers uważa, że Samuel wygląda, jakby skórę ze mnie zdjął.

– Rzeczywiście. – Janet westchnęła, słyszała to już bowiem wiele, wiele razy i nadal nie potrafiła dostrzec rzekomego podobieństwa syna do ojca.

W domu babki dziecko przechodziło z rąk do rąk, było obcawiane przez ciotki i kołysane na kolanach. Thomas niespokojnym, zazdrosnym wzrokiem obserwował poczynania sąsiadek.

– Ostrożnie tylko, bo spadnie – upominał je.

Do siedzącej samotnie z drugiej strony paleniska Janet dolatywał poszum kobiecych głosów, które odzywały się do jej synka w dziecięcej mowie.

W zdumieniu przyglądała się nawale pieszczot i tańczenia wokół Samuela, wiedząc doskonale, że synek czuje się najszczęśliwszy we własnym łóżeczku lub gdy leży golusienki po kąpieli i młóci rączkami. Dziwne, że nikt tego nie dostrzeża, nawet jej mąż.

Lecz jeśli chodzi o syna, Thomas dawał się kształtować jak

miękka glina.

Kiedy Janet wieczorem rozbierała dziecko i wystawiało do góry rączki z zaciśniętymi piąstkami, dumny ojciec brał to za oznakę siły.

– Spójrz, Janie! Popatrz tylko, jakie ma mięśnie. Ten chłopak bez trudu da sobie radę z piłą.

I tak minął pierwszy rok całej trójki pod jednym dachem, szczęśliwej i zadowolonej z siebie nawzajem.

Jesienią 1831 roku starego stryja Coombe’a złożył reumatyzm, wskutek czego odpowiedzialność za stocznię spadła na barki Thomasa. Ten postawił sobie za cel wprowadzenie zmian i udoskonaleń wszędzie tam, gdzie było to możliwe. Powiększono pochylnię i wybrano piach z dna po to, by można było bezpiecznie wodować bokiem znacznie większe łodzie.

Jedno za drugim spływały zamówienia na mocne łodzie rybackie solidnej konstrukcji, zdolne opierać się zimowym wichurom, Thomas miał pełne ręce roboty i dużo mniej czasu na zabawę z synkiem. W Plyn kiwano głowami i pokazywano go sobie z dumą, z uznaniem komentując, jaki to kwitnący zakład buduje sobie młody Coombe.

– Dobry człowiek ten twój Thomas, Janet – mówiono. – Wielkie masz szczęście, że trafił ci się taki mąż i śliczny, zdrowy chłopak na dokładkę.

Janet rosło serce, ilekroć chwalono jej męża, ponieważ mieszkańcy Plyn zwykle ochoczo wynajdywali skazy w najdoskonalszych rzeczach. Samuel raczkował u jej stóp. Obrócił się na plecy; próbując chwycić niebo rączkami, przyglądał się matce poważnym wzrokiem z zamyśloną miną, zupełnie jak jego ojciec. Janet zaczęła z uspieniem syna do powrotu Thomasa i dopiero wtedy położyła małego w kolebce przy kuchennym palenisku, po czym oboje z mężem, szczęśliwi i radosni, usiedli do kolacji, by pomówić o wydarzeniach tego dnia.

– Budowa wielkiej łodzi idzie jak z płatka, Janie. Jutro przed południem nabijamy deski. Jestem bardzo zadowolony z drewna, któreśmy dziesięć miesięcy temu zwieźli z lasu Truan. Właśnie teraz go używamy. Nie ma takiej siły, żeby łódź się rozpadła, chyba że wpłyną nią na skały.

– Mówią, że budujesz szybciej i lepiej niż twój stryj Coombe.

– Tak mówią?

– Owszem, jesteś na językach całego Plyn. Przynajmniej z tego, co słyszałam. Napawasz mnie dumą, Thomasie.

– Wszystko to dla ciebie i naszego syna, Janie. Spójrz na niego, niech Bóg błogosławi jego serce i tę śliczną, niewinną buzię. Kto wie, jak się los potoczy, ale może za jakiś czas będzie pracował u boku starego ojca. Co ty na to, synu?

Samuel zaczął kopać w kołysce. Nie chciał zasnąć. Zapłakał ile sił w płucach.

Thomas wstał i ukląkł przy nim.

– No już, już, Sammie. Nie płacz, syneczku. – Ujął zaciśniętą pięstkę i ucałował ją. – Ciii, chłopcze, ciii. Złamiesz ojcu serce, jeśli będziesz tak krzyczał.

Purpurowy na twarzy Samuel odpowiedział mu wrzaskiem.

Janet uśmiechnęła się i pokręciła głową. Podeszła do kolebki, obróciła dziecko na brzuch i poklepała je po drobnych plecach.

– Warto robić taką awanturę z powodu zwykłych wzdęć? – zadrwiła, łypiąc na męża.

Thomas westchnął i zwiesił głowę. Wiedziała o dzieciach więcej niż on.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).